EPOKA

ROK V. | Warszawa, 5 sierpnia 1938 r. | Nr 22 (125)

Od Paryża do Pragi

Wizyta paryska skończyła się. Już nie tańczą rozentuzjazmowane tłumy na ulicy paryskiej w takt „God save the King". Już przebrzmiała melodia „Marsylianki", którą Londyn witał powracającego króla. Entuzjazm uczynił swoje — znów trzeba zabrać się do szarych, codziennych rozważań na tematy bieżącej polityki.

Jaki jest bilans wizyty paryskiej?

Przyniosła ona niewątpliwie, mimo braku nowych formalnych „commitments", poważne wzmocnienie angielsko-francuskiego porozumienia. Wzmocnienie zaakceptowane nie tylko przez rządy, ale i przez ludy. Barometr prasowy ujawniający w obu demokratycznych mocarstwach rzeczywiste nastroje społeczeństwa, wykazał tym razem pełną zgodność reagowania przynajmniej w rzeczach zasadniczych, u pism tak różnych jak „Epoque", „Temps", „Populaire" i „Humanité" we Francji, jak „Daily Herald", „News Chronicle", „Times" i „Daily News" w Anglii. Zasada „entente cordiale" zasada ścisłej współpracy francusko - angielskiej, tej współpracy, którą tak usilnie stara się unicestwić dyplomacja „osi", jest dziś uznana zgodnie przez wszystkie stronnictwa obu krajów, od konserwatystów i prawicowców do liberałów, socjalistów i komunistów, wytyczną polityki zagranicznej obu mocarstw.

Współpraca ta nie lęka się zarzutu wspólnoty „ideologicznej". Przeciwnie, oba mocarstwa akcentują mocno swoje przywiązanie do wolności i demokracji. Dziwną ironią historii właśnie król angielski zaznaczył w swej mowie wiarę w demokratyczne ideały, wspólne obu narodom, dając w ten sposób dobitną odprawę wszystkim, którzy uważają, że w salonach dyplomatów demokracja powinna dyskretnie milczeć o swym światopoglądzie. Współpraca demokracji — oto hasło, które padło wyraźnie w Paryżu i znalazło dobitny oddźwięk po drugiej stronie Atlantyku.

Dwa wielkie mocarstwa demokratyczne Europy, Francja i Anglia, ściśle współpracujące ze sobą, połączone wiarą w wolność, demokrację i pokój, oparte o solidarność wielkiej republiki północno - amerykańskiej — oto obraz, jaki pozostawiła nam wizyta paryska. Nic dziwnego, że obraz ten wywołał niezbyt radosne miny w Berlinie i Rzymie.

Czy więc wszystko jest już osiągnięte? Czy zakończyła się smutna „droga odwrotu" przed faszystowskim „szantażem wojennym"? Czy każdy nowy akt „osiowej" agresji spotka się odtąd, ze zdecydowaną i twardą, taką jak ta pamiętnego 21 maja br., odpowiedzią umocnionego i scementowanego bloku wielkich demokracji?

Zdaje się, że pozytywna odpowiedź na te pytania byłaby mocno przedwczesna. Wprawdzie jest rzeczą niewątpliwą, że w chwili obecnej interes demokracji światowej i bezpośredni interes własny obu wielkich imperiów zachodnich, łączy się w jedną, nierozerwalną całość. Wprawdzie niewątpliwe jest, że prawdę tę rozumieją nietylko koła demokratycznej lewicy obu krajów, ale i koła tak dalekie od obozu demokratycznego, jak sztab generalny francuski, którego poglądy naogół reprezentuje w publicystyce p. de Kerillis, jak brytyjska Intelligence Service, o której mówią, że lubi przemawiać ustami p. Winstona Churchilla. Ale istnieje też w obu mocarstwach demokratycznych tendencja inna, opierająca się na—jakże złudnym i fałszywym!—przeświadcze-

niu, że można obronić własne interesy kosztem interesów światowej demokracji, że można uratować imperia brytyjskie i francuskie, oddając na łup totalistycznego barbarzyństwa Europę na wschód od Renu.

Poglądy zwolenników tej tendencji precyzuje bodaj najwyraźniej p. Flandin, wódz prawicy francuskiej w artykule, ogłoszonym właśnie w chwili obecnej w całej prasie opozycji prawicowej we Francji. Potęga miltarna „osi", czytamy tam, jest faktem dokonanym nie dającym się już zmienić. Chodzi tylko o jedno: gdzie ona się wyładuje. Czy nie lepiej skierować ją na Wschód zamiast dopuścić by Niemcy ponowiły, ale już uzbrojoną pieścią, swe żądania kolonialne?

Oczywista, jest to oszukiwanie samego siebie. Fakty wykazują, że „oś", im więcej jej się rzuca na żer, z tym większą żarłocznością domaga się nowych ofiar. Po Dunaju przyszłaby w swoim czasie kolej na Alzację i Lotaryngię, na Togo i Kamerun, by nie mówić o innych, bliższych celach. W gruncie rzeczy oznacza to rezygnację mocarstw zachodnich z ich dotychczasowej roli. „Chodzi o to, — odpowiadał niedawno zwolennikom tej koncepcji minister i czołowy działacz lewicy francuskiej, pan Frossard — czy zgodzimy się być krajem wyzbywającym się swej sławy, zwróconym jedynie ku przeszłości, zapadającym powoli w mrok dziejowy, pozwalającym bez protestu, by go otulono w całun purpurowy, w którym śpią umarłe cywilizacje"! Perspektywa niezbyt ponętna dla Francji. Ale trzeba stwierdzić, że w kołach, sympatyzującej z faszyzmem ze względów społecznych, reakcji Zachodu pokutują te właśnie koncepcje.

Czyż nie one to tłumaczą uporczywe trzymanię się paktu włosko - angielskiego? Tragiczną komedię „nieinterwencji" w Hiszpanii? Bierność wobec Anschlussu i remilitaryzacji Nadrenii, pertraktacje o wszelkie, fikcyjne od chwili poczęcia, pakty z Trzecią Rzeszą? Polityka Chamberlaina bliższa jest koncepcji okupienia się — cudzym kosztem — od totalistycznej agresji, niż przeciwstawienia jej zjednoczonych sił demokracji.

Która polityka przeważy w bloku zjednoczonej demokracji? Chamberlain czy Churchill, Flandin czy de Kerillis? Trudno dać zdecydowaną odpowiedź na to pytanie. Zanotujmy, jako fakt pozytywny, że mowa p. Chamberlaina po wizycie paryskiej była o stopień twardsza, bardziej zdecydowana niż dotąd. Ale to są niuanse, odcienie, które każdej chwili mogą ulec ponownej zmianie. Odpowiedzi rzeczywistej, prawdziwej, można udzielić jedynie na podstawie faktów.

Istnieje w chwili obecnej zagadnienie jedno, jedyne, stanowiące nieomylny probierz tej polityki: sprawa czechosłowacka. Jak dotąd, wizyta paryska przyniosła fakt jeden: misję Runcimana. Ale poco jedzie do Pragi lord Runciman? Czy poto, by, uwzględniwszy uprzednio wszystkie usprawiedliwione pretensje mniejszości czechosłowackich, przeciwstawić swe twarde, oparte o zbrojną siłę Imperium, veto wszelkim przejawom germańskiego „Drang nach Südosten"? Czy też poto, by dobrotliwymi słowami skłonić Czechów do włączenia się — niekoniecznie formalnego—w nowe, tym razem berlińskie, „heiliges Reich deutscher Nation" i wytargować dla nich jak najkorzystniejsze warunki w ramach tego „Reichu"? Oto pytanie, jakie z niepokojem stawia prasa demokratyczna zachodu. Odpowiedź na to pytanie dadzą nam zdarzenia najbliższych tygodni.

I dla nas jest rzeczą niezwykłej wagi, która koncepcja polityki zagranicznej przeważy na Zachodzie. Bo pamiętajmy: w tym „Lebensraum", który p. Flandin tak wspaniałomyślnie przydziela germańskiej Rzeszy, znajdują się i polskie ziemie, które już nieraz poznały, co znaczą słowa: „Drang nach Osten"...

„Jednakowo wierzymy w demokrację"

Zachód mówi

o wizycie paryskiej

Zamiast motta:

„Oba nasze narody są jednakowo przywiązane do zasad demokratycznych, odpowiadających najlepiej ich właściwościom przyrodzonym, oba wierzą jednakowo w dobrodziejstwa indywidualnej wolności".

Z mowy króla angielskiego.

Paryż

„Ludy mogą się zbliżać ku sobie przez pamięć wielkich czynów, wspólnie dokonanych, przez wspólnotę ideałów politycznych lub przez troskę o bezpieczeństwo własne. W wypadku Francji i Anglii, uczucia, ideały i własny interes, wszystko to przyczynia się do umocnienia najbardziej potrzebnej i najwierniejszej przyjaźni...

To nie dwa rządy tylko, we Francji i Anglii, uznały za niezbędne ścisłe porozumienie pomiędzy obydwoma krajami. To ludy, po długich doświadczeniach, doszły do przekonania, że mogą i powinny ze sobą współpracować..."

André Maurois w „Marianne".

„Wizyta pary królewskiej w Paryżu to wizyta całego narodu angielskiego. W chwili obecnej, w chwili, jednej z najbardziej krytycznych w historii Europy, nabiera ona szczególnego znaczenia. Każdy Francuz cieszy się z ścisłego porozumienia, łączącego obie wielkie demokracje. Każdy Francuz jest dumny, że przyjaźń, uroczyście proklamowana i potwierdzona stanowi dla Europy i świata najważniejszą porękę pokoju".

Leon Blum „Le Populaire".

„Francuzi wiedzą, że pokoju dziś trzeba bronić. A nie ma rzeczywistej siły zdolnej do obrony pokoju w Europie bez czujnej i coraz to ściślejszej współpracy pomiędzy Francją a Anglią.

Francuzi wiedzą, że Anglicy, to są ludzie, którzy żyją, jak i oni, że prawa angielskie cenią wolność i równość tak samo, jak prawa francuskie".

„L'Oeuvre".

„Oby wizyta króla Jerzego VI. i królowej Elżbiety zjednoczyła opinię publiczną z obu stron kanału La Manche dokoła tych wytycznych akcji, na które zgodziły się już, przynajmniej teoretycznie, oba rządy.

Oby oba rządy z tej wizyty zaczerpnęły otuchy do mobilizowania w sposób bardziej stały i bardziej męski tych możliwości, którymi rozporządzają, możliwości tak potężnych, że bez błędów z ich strony, siły piekielne nie mogłyby nawet marzyć o jakimkolwiek, choćby przejściowym sukcesie".

Pertinax w „L'Europe Nouvelle".

Londyn

„Węzły, łączące ze sobą naród francuski, amerykański i brytyjski przetrwały już wiele trudności od chwili, kiedy francuscy teoretycy polityczni rozpętali siły rewolucji amerykańskiej i rewolucji francuskiej. Obywatele dwóch republik i jednej monarchii otrzymali swą wiarę w demokrację z jednego źródła.

...Zasady rewolucji francuskiej zwyciężyły nie tylko w republice amerykańskiej, ale i w tej samej Anglii, której władcy pierwsi chwycili za broń przeciw młodej republice francuskiej".

„Economist".

„Francja i Anglia łączą się w tym, co jest dla nas najświętsze: w obronie wolności. W obronie wszelkiej wolności, wolności ludów, wolności jednostki, wolności ducha".

„Morning Post" (konserwatywna).

„Francja dała królowi, podczas defilady wojskowej, dobitną próbę swej fizycznej siły... Armia francuska, jest potężniejsza i bardziej gotowa do akcji niż kiedykolwiek".

Gen. A. C. Temperley w „Daily Telegraph".
(pismo konserwatywne).

„Francja republikańska przygotowała naszym suwerenom przyjęcie prawdziwie królewskie. Wizyta paryska wzmocni przyjaźń, zakorzenioną głęboko w duszach zarówno Francuzów, jak Anglików. W świecie, w którym rozpętano już wojny, w którym głośno rozlegają się groźby wojenne, porozumienie angielsko - włoskie jest czynnikiem pokoju, opierającym się na zasadach demokracji i wolności".

„News Chronicle" (organ liberałów).

Nowy Jork

„Zwycięstwo ostateczne należy do demokracji. Zatriumfuje ona dzięki wychowaniu, którego udziela masom. Nie ma rządu, który potrafi utrzymać lud wiecznie w ciemnocie i niewoli. Kraje, w których palono biblioteki, wypędzano uczonych, poddano sztukę i literaturę cenzurze muszą być uważane za kraje, hamujące rozwój ludzkości. Stany Zjednoczone muszą bronić wolności prasy, muszą stworzyć bezpieczne schronienie dla wiecznych prawd. Kiedy płomień wolności gaśnie w innych krajach, trzeba, aby rozdmuchano go jeszcze bardziej u nas".

Prez. Roosevelt w Nowym Jorku, 30 czerwca 1938

„Przed dwudziestu laty zaledwie, mordowanie bezbronnych mężczyzn, kobiet i dzieci wywołało dreszcz przerażenia w całym świecie. Od 1918 r., moralność międzynarodowa upadała tak szybko, że dziś niektóre kraje nie wahają się użyć tego rodzaju zbrodni jako narzędzia swej polityki państwowej... Ale bez moralności międzynarodowej życie ludzkie nie warte jest życia... Nie tylko Francja, Anglia i wszystkie kraje amerykańskie pragną żyć „po sąsiedzku wśród dobrych sąsiadów". Pragnie tego również wiele innych państw. Spokojna odwaga i zrozumienie jedności wszystkich ludzi ożywia Francję i wiele innych krajów, które, jak Francja są wierne sprawie pokoju i wolności".

Ambasador Bullitt, mowa w Reims.

„Do ostatnich lat zasada odosobnienia przeważała w Stanach. Ale ostatnie półtora roku zadały jej ciężkie ciosy. Wojny chińska i hiszpańska, zburzenie Nankinu, Anschluss, a szczególnie zatopienie kanonierki „Panay" ugodziły w izolacjonizm amerykański i odbiły się szczególnie głębokim echem w opinii amerykańskiej.

Niechaj nikt o tym nie wątpi: przyjaźń i sympatia Ameryki kierują się ku tym, których Amerykanie uważają za obrońców pokoju, za przedstawicieli polityki pojednania, za zwolenników wolności handlu, stabilizacji sytuacji politycznej, poszanowania dla wolności ludzkiej.

Byłoby głębokim błędem sądzić, że tak żywe zainteresowanie i tak głębokie sympatie Stanów mogłyby, w wypadku poważnego kryzysu, pozostać bez konsekwencji praktycznych..."

Walter Lippman, nacz. redaktor „New York Herald Tribune" mowa w American Club w New Yorku.

I... Berlin

„Niemcy ze zrozumieniem obserwują wizytę paryską. Główną ich myślą jest, że ta manifestacja przyjaźni pomiędzy dwoma mocarstwami demokratycznymi nie powinna doprowadzić do stworzenia bloku demokracji o ostrzu, skierowanym przeciw państwom totalnym".

„Politische und Diplomatische Korrespondenz"
(organ berlińskiego M. S. Z.)

„Czy Francja nie przemyci do entente-y francusko - angielskiej wszystkich powiązań i automatyzmów polityki Paryż — Praga — Moskwa? Rząd Chamberlaina dąży bez zastrzeżeń do uspokojenia Europy. Ale czy Francja, nawet wchodząc w sojusz z rządem Chamberlaina zrezygnuje ze spekulacji na to, że opozycja angielska, sięgająca w tym wypadku głęboko w szeregi koalicji rządowej, spogląda na problemy brytyjskiej polityki światowej z innego punktu widzenia, niż p. Chamberlain, z takiego, przy którym francuskie pakty wschodnie nabierają nagle niezwykle wysokiej ceny?"

„Wirtschaftsdienst" Hamburg
(czołowy organ gospodarczy Niemiec).

„Służba bezpieczeństwa, pełniona przez policję paryską, sprawiła, że ludność coraz mniej bezpośredni bierze udział w uroczystościach. Kordony policyjne są tak rozciągnięte i gęste, że po kilkugodzinnym czekaniu można conajwyżej zobaczyć kilka hełmów kirasjerskich z końskimi ogonami. Demokracje pokazują swe uroczystości państwowe tylko na płótnie ekranów filmowych..."

„Berliner Tageblatt".



Z DNIA NA DZIEŃ

KOŁOWACIZNA

„Akcja Narodowo-Państwowa", organ stahlowo-hrabykowski, mający ambicję poprawiania ideologii nacjonalistycznej, poddaje dość rozwlekłej krytyce posunięcia antymasońskie „wesołego premiera".

Wśród wielu prawd olśniewających „Akcja" wypowiada jedną, szczególnie głęboką: „masoneria zwalcza dzisiejszy porządek w Polsce. Masoneria bowiem — to liberalizm, to demokracja, to parlamentaryzm, to wróg silnego ustroju Polski". Cóż! Czcionki wyrabiane są z metalu, udźwigną więc najcięższe nawet głupstwo, nie troszcząc się o twarde łby ludzi, które takimi głupstwami się nabija.

Natomiast klerykalny „Głos Narodu", który skądinąd, jeżeli chodzi np. o „Epokę" nie jest wolny od insynuacji, obruszył się srodze na wesołego archeologa za wykopaliska masońskie tak podejrzanej autentyczności, jak Ignacy Paderewski i Stanisław Stroński: „...powtarzanie za propagandą ościennego mocarstwa bajek, utożsamiających wszelkie popieranie polityki Francji i Czechosłowacji z działalnością masońską, oraz zaliczających wszystkich zwolenników demokracji, chociażby najbardziej narodowych i katolickich, do wolnomularstwa, jest nielada naiwną insynuacją". A zatem cała ta olśniewająca prawda „Akcji Narodowo-Państwowej" jest „nielada naiwną insynuacją", a także jest „bajką, powtarzaną za propagandą ościennego mocarstwa" Wiadomo, co to za propaganda, i wiadomo, co to za ościenne mocarstwo.

Ale nie dość na tym. „Głos Narodu" kreśli dalej taką wielce poważną sylwetkę osławionego profesora archeologii: „mamy pewne konkretne posądzenia co do źródeł, z których czerpał b. premier i autor Berezy, najzacieklejszy wróg młodzieży narodowej i inicjator metod policyjnych. Jemu oczywiście było szczególnie łatwo paść ofiarą mistyfikacyj, z wiadomym artyzmem podrabiających cokolwiek do celów dywersyjnych". Więc jasne, że ktoś tu pociąga za nitkę, ktoś naturalnie, komu zależy na polityce przeciwfrancuskiej a filohitlerowskiej.

Przerażenie może ogarnąć nawet bardzo tęgich ludzi na myśl, że człowiek, który tak „łatwo pada ofiarą mistyfikacji" dywersantów, człowiek o takiej samowiedzy, może zapragnąć być jeszcze raz premierem Rzeczypospolitej!

RADOŚĆ ŻYCIA...

Osławiony, krakowski *„I. K. C."*, który nie może być posądzony nawet przez przysięgłego hitlerofila o zaciekłość czy stronniczość demokratyczną, zamieszcza bardzo krytyczny reportaż z podróży po Niemczech.

Znajdujemy tam takie, między innymi spostrzeżenia i opinie: „Berlin się nie uśmiecha. Jest ponury. To nie powaga i dostojność, ale raczej smutek i rezygnacja. Jest jakiś niepokój tajony w życiu tego miasta — jakieś nienasycenie. Nie tylko kuchnią, ale całym życiem codziennym rządzi wielki pan Ersatz"... „Krótki pobyt w Berlinie utrwalił wśród nas ogólnie podzielane zdanie miasta sztywnego i koszarowego, wymusztrowanego. Te rozmowy, prowadzone półgłosem w miejscach publicznych i ten brak uśmiechu na ustach berlińczyków, kładą przedziwne piętno na nastroju ulicy stolicy Niemiec".

Poganiacze osłów gotowi są zawsze wmawiać, że nie masz życia lepszego, niż życie w jarzmie. Znika bowiem wtedy męka myślenia, a równy, miarowy krok całego tabunu przy poświstach bata przepełnia duszę spokojem, który jest prawdziwą radością życia. Jarzmo jest więc symbolem miłości narodu i patriotyzmu. Zdałaby się już sztuczna hodowla hitlerofilów na naszym gruncie, bo zbyt powoli rozmnażają się sposobem naturalnym, a rozłażąc się w tych ilościach po naszej ojczyźnie, nie łatwo ją poddadzą woli wyznawców Wotana.

Pudło

„Kurier Poranny" obruszył się na nas za notatkę pt. „Oszałamiające gratulacje", w której wytknęliśmy niewłaściwość wysyłania powinszowań telegraficznych do gen. Franco przez funkcjonariusza polskiej policji państwowej. Pismo dopatruje się „murzyńskiej etyki" w tym, że potępiamy p. X. za postępek, sprzeczny z formalnym stanowiskiem dyplomatycznym Rządu polskiego, a równocześnie zwalczamy faszyzm.

Autorytatywny organ endeckich neo-sanatorów (czy sanacyjnych neo-endeków, jak kto woli) zapomniał widocznie o głównej zasadzie życia publicznego krajów cywilizowanych, tj. o zasadzie podziału kompetencji.

Funkcjonariusz policji jest funkcjonariuszem państwa. Polityka, którą *jako funkcjonariusz policji* uprawia, może być tylko jedna: polityka Rządu. Osobiście może mieć inne poglądy polityczne, może nawet chcieć je wcielać w życie, ale nie w stanie służby, nie powołując się na swój mundur, z podaniem komisariatu, w którym służy.

Gdyby p. X. położył swój podpis pod jedną z wielu depesz gratulacyjnych, wysyłanych przez duchowych potomków dawnej polskiej Targowicy do szefa dzisiejszej Targowicy hiszpańskiej, to wcale byśmy się tym nie zajmowali. Ale ta depesza stała się ważną dopiero wtedy, gdy ogłoszono ją w komunikacie i wymieniono autora, jako funkcjonariusza policji państwowej, podając nawet jego przydział służbowy.

„Epoka" natomiast jest niezależnym organem opinii publicznej, przyczyniającym się do kształtowania przekonań, a więc — polityki kraju.

Gdyby „Epoka" manifestowała np. swój entuzjazm dla kierunku obecnej naszej polityki zagranicznej, z którą się nie zgadza łącznie z całą demokracją polską — postąpiła by bardzo źle. Tak samo postąpiłby źle taki funkcjonariusz policji, który, podzielając poglądy demokracji na dzisiejszą politykę zagraniczną, krzyknąłby np. przy przejeździe jakiegoś dygnitarza III Rzeszy: „Precz z faszyzmem"!

Każdy powinien robić to, co do niego należy.

Pismo powinno uczciwie oświetlać zjawiska w duchu swoich przekonań, policjant zaś na służbie powinien przestrzegać porządku i oddawać honory gościowi, zgodnie z polityką Rządu Rzeczypospolitej.

Czy ta niezmiernie prosta i jasna różnica pomiędzy organem opinii publicznej a organem bezpieczeństwa publicznego jest doprawdy tak niezrozumiała dla niektórych panów z redakcji „Kuriera Porannego"? I gdzie tu powód do zarzutu „murzyńskiej etyki", która dziś zresztą góruje nieraz nad etyką wielu „białych"

Kto w ten sposób mierzy, musi chybić. Myśliwi krzyczą wówczas: „pudło", w języku zaś fechtmistrzów podobnie zręczne i cięte wystąpienia znane są jako „świńskie cięcia".

Młodzi świecą przykładem

Polska młodzież demokratyczna gościła niedawno delegację swych czechosłowackich kolegów, przedstawicieli młodzieży wszystkich stronnictw, wchodzących w skład demokratycznej koalicji rządowej w Czechosłowacji. Komitet, który podejmował w Warszawie miłych gości, składał się z przedstawicieli młodzieży PPS, Wici, Sekcji Młodych Klubu Demokratycznego i RIOK. W ten sposób reprezentacja wszystkich odłamów młodej demokracji polskiej, awangarda naszej młodzieży robotniczej, chłopskiej i akademickiej, zadokumentowała wobec opinii publicznej obu krajów, wobec całej Europy, że prawdziwa Młoda Polska rozumie doniosłość przyjacielskich stosunków między oboma, jednakowo przez hitleryzm zagrożonymi, narodami. Przodujący odłam młodego pokolenia polskiego z całą stanowczością przeciwstawia się niesumiennej i nieodpowiedzialnej nagonce antyczeskiej nielicznych choć hałaśliwych żywiołów prohitlerowskich, które z zapałem godnym lepszej sprawy usiłują wbrew oczywistym interesom Polski wykopać przepaść między nami a Czechosłowacją — w chwili, gdy zaborczy hitleryzm szykuje się z całą bezwzględnością do realizacji swych mitteleuropejskich planów.

Goście czechosłowaccy, tak serdecznie przyjmowani przez naszą dzielną młodzież, mogli tu, na miejscu, przekonać się, że uczciwa, demokratyczna opinia naszego kraju z największą sympatią odnosi się do ich ojczyzny, która w chwili obecnej jest szańcem pokoju i wolności w Europie środkowej. Z drugiej strony opinia polska mogła stwierdzić, że demokracja czechosłowacka, reprezentowana przez swą młodzież, darzy nasz naród pełnym zaufaniem i rozumie doskonale, jak ogromna różnica zachodzi między prawdziwą postawą społeczeństwa polskiego, a karkołomnymi koncepcjami politycznymi prasy reakcyjnej w odniesieniu do konfliktu czesko-hitlerowskiego. Oby ta przyjaźń młodzieży utorowała drogę szczeremu porozumieniu sąsiedzkiemu Polski i Czechosłowacji, porozumieniu, które tak jest potrzebne obu narodom i całej Europy!

WRAŻLIWE POWONIENIE

W „Czasie" czytamy:

„W ub. niedzielę odbył się w Krakowie Nadzwyczajny Powiatowy Zjazd Stronnictwa Ludowego, na którym przewodniczył prezes Gajoch a sprawozdanie z wyjazdu do Czechosłowacji składał minister Wójcik. W dyskusji mówcy niezwykle gwałtownie wypowiedzieli się przeciw jakimkolwiek próbom ugody z sanacją. Na obchód „Czynu Chłopskiego" w Krakowie postanowiono zaprosić P. P. S. i Stronnictwo Pracy. Uchwalona rezolucja w ostrych słowach zwraca się przeciwko nowej ordynacji samorządowej.

Przebieg zjazdu jest niewątpliwie bardzo charakterystyczny, zwłaszcza, że zaproszenie na święto „Czynu Chłopskiego", zarówno P. P. S. jak i Stronnictwa Pracy pachnie mocno „frontem demokratycznym".

A ten zapach jest dla subtelnego powonienia naszej magnaterii bardzo nie miły. *Im* pachnie front brunatno - czarny.

PO CZTERYSTU LATACH

„La Croix", organ episkopatu francuskiego, podaje wiadomość, że hitlerowcy wysadzili w powietrze na cmentarzu wiedeńskim pomnik na grobie pierwszej żony kanclerza Schuschnigga.

Ci nosiciele „nowej kultury" duchowej profanują groby, bo sami wyrastają z profanacji wszystkiego co ludzkie. Z wściekłością więc gryzą nawet kamienie, które im są niewygodne. W ich pojęciu nawet pomnik Schuschniggowej symbolizuje herezję. I u nas przed wiekami profanowano cmentarze „heretyków", wykopując zwłoki dyssydentów. W szale wściekłości i paroksyzmach obłędu religijnego rzucano trupy mężczyzn na trupy kobiet z okrzykiem: „rozmnażajcie się!" Ale to się działo w XVI-ym wieku. Przez cztery stulecia wzrost kultury moralnej przytłumił i na wodzy trzymał instynkty hien i szakali w ludzkiej postaci. I trzeba było dopiero narodzin nowej „narodowej" kultury, aby po upływie czterystu lat, dzieci mroku ponownie zaczęły kopać jamy nie tylko na kwit-

nących polach, lecz i wśród cmentarnych grobów. Z dzikiego bliskiego Zachodu przyszła i do nas zachęta do profanowania pogrzebów i kaplic innowierców, żydów i protestantów. Jak dotąd są to jedyne „pozytywne" osiągnięcia w pochodzie „nowej" kultury.

APEL PISARZY CHŁOPSKICH

Wychodzące w Krakowie chłopskie pismo literackie *„Nurty"* zamieszcza odezwę do wszystkich pisarzy chłopskich w Polsce, apelując do nich, by stanęli do pracy i walki pod własnym, ludowym, demokratycznym sztandarem. Literatura ludowa nie może stać poza ruchem ludowym, poza walką chłopów o lepsze jutro. Musi przeciwstawić się siłom reakcyjnym, które pragną oddać chłopów we władzę ich wrogów, utrzymać wieś w niewoli i ciemnocie. Odezwa kończy się następującym apelem:

„Wieś walcząca i pracująca musi widzieć wszystkich swoich pisarzy w pierwszych szeregach. Na szalę walk chłopskich o nowe życie musimy położyć całą swoją energię, zdolności, poświęcenie i siłę. Musi być urzeczywistniona myśl stworzenia niezależnej organizacji pisarzy chłopskich — Związku Pisarzy Chłopskich w Polsce".

„Pisarze chłopscy zrzeszają się celem wydawania swoich gazet, czasopism i książek, celem złamania monopolu kapitalistów prywatnych na wydawanie książek, celem walki z wyzyskiem księgarskim i hien prasowych, żerujących na nędzy pisarza chłopskiego".

„Musimy się zrzeszyć i zwyciężyć! Nie wolno nam czekać! Nie wolno nam się oglądać na nikogo. Nie powinno braknąć w naszych szeregach ani jednego pisarza chłopskiego wszystkich narodowości zamieszkałych na ziemiach Polski. Wszyscy do jednej prawdziwie niezależnej i szczerze demokratycznej organizacji w Polsce:

O wolność i oświatę dla ludu.

O wielką literaturę ludową.

Niech żyje solidarność pisarzy chłopskich!

Niech żyje Związek Pisarzy Chłopskich w Polsce!".

Marian Czuchnowski, Emil Dziedzic, Antoni Gronowicz, Stanisław Matysiak, Kazimierz Nowak, Stanisław Nędza-Kubiniec, Bolesław Słowiański.

Adres redakcji „Nurtów": Kraków, ul. św. Teresy 4.

RZYM W HOŁDZIE BERLINOWI

We Włoszech „zaprowadzono" rasizm. Znalazło się 16 profesorów uniwersytetu, którzy podjęli się „naukowego" uzasadnienia doktryny rasistowskiej w wydaniu italskim. Bardzo już musi być źle z faszyzmem włoskim, skoro musi szukać nowych środków podtrzymywania nastrojów nacjonalistycznych w kraju! Źle, bardzo źle jest z popularnością faszyzmu w masach ludowych, gdy trzeba było uciec się do bzdurnej, szarlatańskiej doktryny, która ze stanowiska antropologicznego jest we Włoszech absurdem jeszcze większym, niż w Niemczech. Rozczarowanie abisyńskie, trudności hiszpańskie, nędza w kraju i powszechne niezadowolenie ludności, które objawia się coraz głośniej — oto źródła rasistowskich natchnień Mussoliniego. Jeżeli chwycono się tego wybiegu tym razem w kraju katolickim, tuż pod bokiem Watykanu, który niedawno z całą ostrością potępił publicznie tę antychrześcijańską „teorię" — to widzimy w tym dowód nieubłaganej konieczności, która pcha Mussoliniego do gorączkowego poszukiwania coraz nowych „specyfików" szowinistycznego narkotyzowania mas. Jednocześnie jest to demonstracja dalszego, już nie tylko politycznego, ale i doktrynalnego zbliżenia faszyzmu włoskiego z hitleryzmem, demonstracja pod adresem wszystkich, którzy łudzą się, że możliwe jest oziębienie przyjaźni Włoch faszystowskich z Trzecią Rzeszą. Rzym składa hołd Berlinowi. Rasizm przekroczył granice Trzeciej Rzeszy. Stał się oficjalną ideologią Faszinternu.

Aktualność Zofii Nałkowskiej

(DOKOŃCZENIE)

Człowiek jest punktem, koncentrującym stale uwagę Nałkowskiej, osią dokoła której obracają się jej zainteresowania twórcze. Pojedyncza osobowość ludzka z jej światem wewnętrznym, nigdy do końca niezbadanym, nigdy nie dającym się przeniknąć. Człowiek Nałkowskiej jest zawsze ten sam: niespokojny, błądzący po omacku, niepewny w pobudkach i czynach. Nie zmieniają się pewne założenia psychologiczne, jakie postawiła sobie autorka u źródeł swojej twórczości. Ale w miarę tego jak zmienia się świat zewnętrzny dokoła ludzkiej jednostki, w miarę tego jak kręgi życia, objęte inwencją literacką pisarki stają się coraz szersze, zmienia się sposób widzenia człowieka, zmienia się metoda twórcza Nałkowskiej.

Od początku przeważa w jej utworach element psychologiczny. Ale pierwsze książki — to autobiografizm psychologiczny, to przeżycia „opowiedziane" osobiście przez delikwenta. To spowiedź, lecz taka spowiedź, w której motywem przewodnim jest nie pokora, lecz zadowolenie z siebie, rozkochanie się w sobie. Po to, żeby wyrazić stan psychiczny bohatera, a raczej bohaterki, wąski zakres jej życia, potrzeba autorce wielu słów, skojarzeń, zestawień. Te słowa muszą zapełnić jakgdyby pustkę dokoła jednostki, która w pierwszych książkach Nałkowskiej jest indywidualonścią, pozbawioną świata zewnętrznego; te słowa stanowią jakgdyby życie, przelewające się dokoła, są ruchliwe, barwne, niespokojne, tłoczące się, są jedynym pulsem życia w książce, jedynym jej momentem dynamicznym. Nic się innego tam prawie nie dzieje, tylko te słowa biegną, trzepocą skrzydłami lotnych kolorowych metafor, są jedynm poszumem tej walki, jaką toczy niespokojny buntujący się człowiek.

Stopniowo jednak, powoli, wyrasta dokoła jednostki świat, wyrastają żywi ludzie, rozszerza się środowisko, objęte fabułą utworów. I w miarę rozrostu tego mechanizmu życia, słabną poprzednie środki zastępcze, kurczą się słowa, ograniczając się coraz silniej zasadą niezbędnej konieczności. Psychologia, odtwarzana początkowo po przez liryczne dygresje, przyjmuje formę coraz bardziej dyskretną, staje się nurtem ukrytym w odruchach podświadomości i czynach. I postacie późniejszego okresu pracy Nałkowskiej widzimy już w ruchu, w działaniu.

Opis ludzi przychodzi na miejsce opowiadań tych ludzi o samych sobie. Realizm tego opisu pociąga za sobą realizm postaci. Postawieni w krąg faktów, zdarzeń i przejawów, mających swą konsekwencję, swe logiczne uwarunkowanie, bohaterzy i bohaterki Nałkowskiej nabierają krwi, ich stany psychiczne otrzymują uzasadnienie.

Tym samym upada cała pierwotna zagadkowość typów Nałkowskiej; zagadkowość, która spowodowana była nie tylko egocentrycznym nastawieniem autorki, jej pewnym narcyzyzmem; można by przypuścić, że raczej zagadkowość ta była często pozorna, wywołana niedostatecznym opanowaniem metody pisarskiej, nie dostateczną umiejętnością znalezienia artystycznego wyrazu i artystycznej konsekwencji dla obrazu wewnętrznego życia człowieka. Postacie ostatnich powieści Nałkowskiej, jak „Niedobra miłość", „Choucas" czy „Granica" pozbywają się tej „sfinksowatości". Cóż z tego, że człowiek jest niekiedy dziwny, że jego postępowanie nie odpowiada naszemu sposobowi odczuwania zdarzeń, że niedomówień nosi w sobie zawsze bardzo wiele. Cóż z tego, że taki Blizbor np. jest napozór niewyjaśniony. Człowiek nigdy nie da się zgłębić bez reszty. Ale rozumiemy to, co się dzieje w fikcyjnym świecie powieści, rozumiemy wzajemne nici pomiędzy bohaterami, rozumiemy cały przesuwający się nam przed oczami proces psychiczny.

W przeciwieństwie do pierwszych swych utworów, autorka nie tylko, że nie analizuje szczegółowo każdego przeżycia, ale szereg momentów przemilcza. Z taśmy procesu wycina pewne fragmenty, podnosząc tym samym ekspresję następnych. A fakt, że mimo to nie tracimy nic z logiki wydarzeń, z logiki postępowania ludzkiego, najlepiej świadczy o dojrzałości techniki artystycznej Nałkowskiej.

„Autentyczność staje się postulatem artystycznego piękna" tak charakteryzuje pisarka swoją metodę. Ta autentyczność — to kontakt z rzeczywistością, przeniknięcie realnego doświadczenia w dziedzinę literackiej fikcji. A doświadczenie to prześwietlone wysokim intelektem autorki daje w wyniku wielką prostotę ujęcia i prawdę wyrazu.

Autentyczność ta jest jednak bardzo daleką od fotografii, od jakiejkolwiek bądź reportażowości. Z tym nie ma Nałkowska nic wspólnego. Oszczędność środków artystycznych, jakimi uzyskuje efekt realności, bynajmniej nie jest ich ubóstwem. To tylko silna ich kondensacja, wielka celowość użycia. Gdy mówi np., że: „Inny sens buchał, jak dym, z głębi zdarzeń" — to nie jest tylko piękne swą rytmiką i metaforycznym nasyceniem zdanie, lecz stwierdzenie zasadniczego zwrotu w fakturze powieści, zamknięcie w ścisłej formie całego dramatyzmu akcji. Sztuczność ozdób, dekoracyjność obrazów i powiedzeń nie istnieje w ostatnich utworach Nałkowskiej.

„Tak — dziwnie prędko zeszła Agnieszce ta zima. Pociemniało od wichrów, śniegi wsiąkły w żółtą trawę. Na brzegu niebieskich rozlewisk zakwitły kaczeńce". — Znowu krótkie trzy zdania, zamykające kilkumiesięczny pełen wydarzeń okres, zdania, w których wyraz poetycki łączy się integralnie z realizmem rzeczy, które były i które nadejdą.

Autentyczność przebija się również w stosunku do elementu przyrody. Nie ma już nieuchwytnych objawów natury: powietrza, słońca, mgieł czy wichrów, z którymi współżyją bohaterki pierwszych powieści: „Lodowych pól" czy „Księcia" i in. Są konkretne zanotowania pewnych zjawisk przyrody w granicach konieczności, zakreślonej przez konstrukcję powieści. Ale te drobne, nieliczne wiersze są tak mocne w skojarzeniach wzrokowo-rytmicznych, że czynią z krótkich fragmentów natury element równie dynamiczny, równie wpleciony w całokształt utworu.

Sięgnięcie do rzeczywistości w tematyce i treściowej strukturze powieści z jednej strony powoduje znaczne uproszczenie stylu, kondensację i oszczędność środków technicznych, z drugiej jednakże komplikuje kompozycję utworów. Pierwotna chronologiczna konstrukcja fabuły nie może wystarczyć tam, gdzie życie pulsuje wieloma przejawami, często krzyżującymi się ze sobą, przenikającymi się nawzajem—nie może odtworzyć właściwej atmosfery wydarzeń, niepokoju i walk poszczególnych jednostek ludzkich. I w miarę pogłębiania się zagadnień w twórczości Nałkowska z właściwą świadomemu artyście umiejętnością równocześnie pogłębia i komplikuje budowę swych utworów. „Niedobra miłość", a jeszcze bardziej „Granica" po za pewnym zasadniczym utrzymaniem wątku chronologicznego operują zręcznie wypadami zarówno retrospektywnymi, jak i wybiegającymi w przyszłość. Poszczególne linie utworu, równorzędnie prowadzone akcje splatają się w zawiły akord, rozwiązujący się dopiero przy końcu. Ale i to rozwiązanie nie jest nigdy ostatecznym, nie jest rozwiązaniem bez reszty, pozostawiając po sobie, jak niewłaściwe rozwiązanie dysonansu muzycznego — ton niezaspokojenia, oczekiwania.

Pogłębia to zazwyczaj dramatyzm utworów Nałkowskiej, w szczególności jej utworów scenicznych. „Dzień jego powrotu", którego finał sprowadza sprawę do punktu wyjścia — znowu do zbrodni popełnionej wskutek spiętrzenia się nieporozumień, jest dramatem o wyjątkowo silnym napięciu tragicznym.

To też pozorna prostota późniejszych dzieł Nałkowskiej mówi o osiągnięciu przez nią stopnia wysokiego artyzmu, który pozwala jej na wydobywanie silnej bezpośrednio oddziaływującej ekspresji. Emocjonalność „Domu nad łąkami", „Choucas" czy „Niedobrej miłości" jest nie tylko inną niż w jej twórczości przedwojennej, ale i znacznie silniejszą. Tam — w pierwszych jej utworach uczucie było dziełem intelektu, dziełem refleksji, tu liryzm choćby „Domu nad łąkami" jest liryzmem sytuacji, liryzmem, płynącym z odtwarzanego życia, liryzmem „autentycznych" przeżyć.

Kryteria wartości pisarza leżą w dużej mierze w przekroju jego ewolucji, w liniach jego rozwoju. Nałkowska w dziedzinie zdobyczy artystycznych przebywa długą drogę, osiągając wysoki stopień kunsztu pisarskiego. Na drodze tej musi zwalczać poważne przeszkody w postaci swych pierwszych naleciałości młodopolskich i tych wszystkich olbrzymich trudności, jakie piętrzyły się przed powieścią polską w okresie powojennym, w okresie kształtowania się nowych form pisarskich. Opanowała je szczęśliwie, wchodząc na drogę, wiodącą ją do pogłębiania realistycznej metody twórczości, stała się jednym z pionierów współczesności w literaturze.

MARIA ŻEROMSKA.

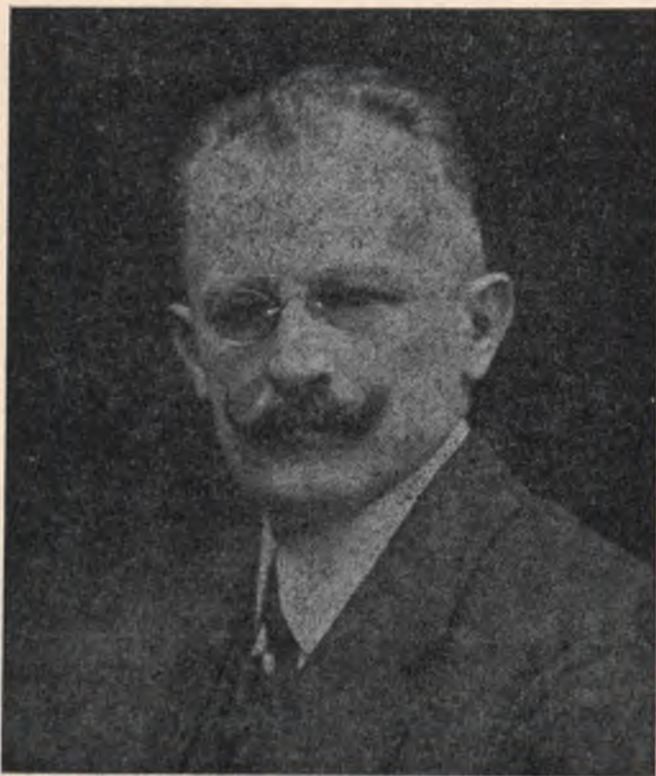
Dzieje współczesne w żywych osobistościach

Stanisław Patek

Gdy widzimy, jak dziś, w dobie rozpasania reakcji, rozwija się w niektórych środowiskach pod naciskiem i oddziaływaniem krajów dykatury obłąkańcza hipnoza totalizmu, gdy widzimy, jak nicość moralna triumfuje nad szlachetnością i zasługą, prostactwo umysłowe nad rozumem i wiedzą, samowola i brutalna przemoc nad duchową i uczuciową kulturą — mimowoli budzi się tęsknota do człowieka. Tęsknota bynajmniej nie idyliczna. Wówczas wzrok się zatrzymuje na tym świetnym poczcie doborowych umysłów i duchów współczesnych, które w najcięższym okresie bytu niewolonego narodu świeciły przykładem hartu i odwagi w walce o wyższe cele i wartości moralne, objęte przez ideę polskiego życia i wyzwolenia.

Do rzędu tych przodujących szermierzy wolności i czynnych humanistów, bezspornie należy Stanisław Patek. Jest on prawdziwym synem swojej doby dziejowej. Z jego osobą i imieniem wiąże się najświetniejsza karta obrony skutego i osaczonego człowieka. Karta ta, wypełniona aktami poświęcenia i krwawego trudu w obronie więźnia politycznego, stała się wzorem nie tylko dla walczącej palestry polskiej, ale zyskawszy wkrótce szeroki rozgłos, stała się przedmiotem podziwu i jednocześnie zachętą do naśladownictwa, daleko poza granicami kraju.

Ale co więcej! Dziś ta wspaniała karta wobec praktyk totalizmu, przekreślającego zasady prawne i normy etyczne współżycia ludzkiego, uświęcone i obowiązujące w świecie cywilizowanym — nabiera szczególnej wymowy, znaczenia i aktualności. Zwłaszcza, jeżeli uprzytomnimy sobie, że w niektórych krajach o kulturze do niedawna zachodniej totalistyczne metody ucisku, niewolenie i poniewieranie człowieka, wykreślenie z życia zasad tolerancji, nieograniczona samowola władzy, opartej na zorganizowanej zgrai oprawców — przypominają do złudzenia metody samowładztwa rosyjskiego i dają jednocześnie wyobrażenie o okrucieństwie rządów w państwie carów.



STANISŁAW PATEK

O ileż więc łatwiej jest uzmysłowić sobie i pojąć ową ponurą przeszłość historyczną, że wierne jej odbicie mamy w teraźniejszości, w doświadczeniach i praktykach despotii nowoczesnych.

Na tym tle dopiero wyraźniejsza się staje i urasta do właściwych rozmiarów zasługa i odwaga moralna Stanisława Patka, który latami całymi na czele garstki obrońców politycznych przeciwstawiał się co dnia bezmiarowi samowoli satrapów w rozporządzaniu się życiem i wolnością człowieka.

Ale w tych nierównych, zdawało się beznadziejnych turniejach, obrońcy ci nie byli opuszczeni lub osamotnieni. Odczuwali koło siebie moralną obecność społeczeństwa, które doceniało ich trud bezmierny na wysuniętym posterunku walki z potężną, wszechwładną ochraną, które rozumiało i znało każdy ich wysiłek, obliczony na ocalenie ofiar i wyrwanie ich z kręgu przemocy. Społeczeństwo wspierało ich wówczas całą swoją siłą moralną, nie szczędząc również środków dla ich dzieła materialnej pomocy tysiącznym rzeszom, rzuconym za kratę więzienną.

Stanisław Patek, (urodzony w ziemi Radomskiej w 1866 r) po ukończeniu w 1889 r. wydziału prawnego uniwersytetu warszawskiego, poświęcił się początkowo praktyce adwokackiej w zakresie cywilistyki i w tym dziale należał do zdolniejszych prawników. Jednak w 1902 r., kiedy wezbrała fala rewolucyjno-niepodległościowa, Stanisław Patek, idąc za głosem powołania, porzucił korzystną praktykę cywilną i poświęcił się wyłącznie obronie w sprawach politycznych. Zasłynął wkrótce jako odważny, pełen bezinteresowności obrońca, wyróżniający się świetną wymową i doskonałą znajomością prawa. Jego płomienne mowy w obronie życia oskarżonych, zwłaszcza Okrzei i Montwiłła, mowy pełne dramatycznego wyrazu, pozostaną w historii adwokatury dokumentem żarliwości ideowej, poczucia człowieczeństwa, a jednocześnie wielkiego kunsztu oratorskiego.

Z tym niebezpiecznym obrońcą, prokuratorzy sądów wojennych niechętnie stawali w szranki, obawiając się porażki lub kompromitacji w nierównej walce z przeciwnikiem o imieniu, mającym nawet wśród wrogów wielki ciężar gatunkowy, z przeciwnikiem nie poddającym się, który nieraz, gdy wszystkie środki prawne i zabiegi zawiodły, potrafił w ostatniej chwili przed egzekucją, siłą swojej wymowy i uroku osobiste-

go uzyskać ułaskawienie*). Był też solą w oku ochrany, wywierającej przemożny wpływ na władze administracyjne kraju i na wymiar sprawiedliwości. Ochrana więc zagięła parol na tę wysoce niewygodną dla siebie osobistość, która nieraz krzyżowała jej plany i posunięcia, a mieszkanie jego, będące redutą obrońców politycznych, pozostawało niezmiennie pod jej argusowym okiem.

Któż nie znał cichej, dwupiętrowej kamienicy przy ulicy Królewskiej nr 25, wprost Ogrodu Saskiego, w której mieściła się na drugim piętrze kancelaria adwokata Patka? Wchodziło się do tej głównej kwatery obrońców z klatki schodowej na lewo, na prawo zaś do siedziby Czerwonego Krzyża, znanego również pod nazwą Związku Pomocy Więźniom Politycznym. W języku konspiracyjnej Warszawy, siedziby tych dwu instytucyj określane były krótko: „ta strona“ i „tamta strona“. W godzinach przyjęć, które trwały nieraz do późnej nocy wrzało po tej stronie, jak w ulu: wśród tłumu interesantów uwijali się młodzi, ale sławni już i wielkim mirem cieszący się adwokaci, najbliżsi współpracownicy Stanisława Patka: Eugeniusz Śmiarowski, Leon Berenson, Bolesław Szyszkowski, Henryk Landy, Wacław Szumański, Kazimierz Sterling, Wacław Makowski i Jerzy Skokowski.

Tutaj myśl obrończa, czujna i napięta, pracowała nieustannie, wiedząc, że mierzyć się musi ze zręcznością i przebiegłością ochrany, że wypadnie jej podważać i przezwyciężać w bezpośredniej rozprawie groźne oskarżenie, zamykające się często pętlą stryczka. Rosły tutaj góry akt sądowych w sprawach o najcięższe „zbrodnie stanu“.

Po „tamtej stronie“ działał nieustająco Czerwony Krzyż, mający w swej pieczy nie tylko liczne rzesze więźniów politycznych, ale także i ich opuszczone rodziny, pozbawione środków utrzymania. Tu, w tej głównej kwaterze pomocy obywatelskiej, której duszą była Stefania Sempołowska, czynne były niestrudzone i zawsze pełne poświęcenia najbliższe współpracowniczki „markizy“: Wanda Kłyszewska, Natalia Zabawer, Dr. Ignacja Lewińska, Amelia Kaminkowa, Helena Kruszewska*).

Chcąc podciąć tę bardzo niewygodną działalność u samej podstawy, władze oskarżyły Stanisława Patka o założenie Pogotowia prawnego w sprawach politycznych oraz Związku pomocy dla więźniów politycznych, domagając się pozbawienia go praw adwokackich. Komitet sądzący, który składał się z sześćdziesięciu sędziów (60) Sądu Okręgowego, po drobiazgowym rozpatrzeniu sprawy jednogłośnie żądanie to odrzucił. Było to niespodzianką i sensacją nielada, bo już poprzednio Stanisław Patek uznany był winnym obrazy tego samego Sądu Okręgowego i pozbawiony był prawa praktyki na pewien czas. Sensacją tym większą, że odpowiadał on także w trybie procedury dyscyplinarnej za niezwykłe zachowanie się w wileńskim wojskowym sądzie okręgowym podczas rozprawy, toczącej się przeciw Świrskiemu za historyczną dziś akcję bezdańską. Stanisław Patek, nie czując się widocznie w swoim sumieniu wiernym poddanym jego cesarskiej mości w porywie oratorskim, krzyknął w twarz sędziom: przecież w *waszym państwie* nastąpiło uspokojenie!“

Warszawska Izba Sądowa, powiązana z ochraną i generał-gubernatorstwem, ulegając naciskom stamtąd płynącym, postanowiła dn. 20 maja 1911 r. skreślić Stanisława Patka z listy adwokatów przysięgłych. Wyrok ten Izba oparła na zeznaniu zdrajcy Bartosa, który oświadczył, że podczas badania adw. Patek, jego obrońca, namawiał go do cofnięcia poprzedniego zeznania, złożonego w śledztwie pierwiastkowym.

---

*) Nie sposób tutaj rejestrować szczęśliwych skazańców, których Stanisław Patek swoimi staraniami zdołał wyrwać z objęć śmierci, ani też przytaczać pomysłów i zabiegów, stosowanych na to w okolicznościach najbardziej dramatycznych i w sytuacjach, zdawałoby się, zupełnie beznadziejnych.

Wszelako godzi się teraz przypomnieć jedno takie z pokaźnego cyklu a nieznane prawie zdarzenie, związane z osobą, nb. Rosjanka, która w nagrodę za rolę wówczas spełnioną i za wszystkie zasługi późniejsze została w tych dniach właśnie odznaczona w Warszawie Krzyżem Niepodległości.

Otóż w jednym z licznej serii procesów, powstałych z „Krwawej środy“, zapadł w Sądzie Wojennym wyrok, skazujacy na śmierć przez powieszenie 8 czy 9 chłopów z powiatu nowo-mińskiego. Wszelkie wysiłki obrony, skierowane na uratowanie skazanych — zawiodły. Stanisław Patek i Stefania Sempołowska, głowiac się tego dnia wieczorem nad wynalezieniem jakiegoś jeszcze środka ratunku, postanowili zaryzykować i udać się pomimo późnej pory do mieszkania p. Kaminki, dyrektora wielkiego banku Azowsko-Dońskiego czy Międzynarodowego w Warszawie, a ściślej mówiac do pani Amelii Kaminkowej, która miała rozległe koneksje w sferach administracji i wojskowości rosyjskiej. Pani Kaminka, osoba niezmiernie żywa i ujmująca, nadto niepospolitej urody, zgodziła sie po krótkiej rozmowie, prowadzonej w niezwykłych okolicznościach i z ludźmi, których prawie lub wcale nie znała, poczynić starania na rzecz skazanych. Zgodziła sie interweniować właśnie u generała, pod którego przewodnictwem w Sadzie Wojennym posypały się wyroki śmierci i który nazajutrz przed południem miał udać się na Zamek, bedący wówczas siedziba generał-gubernatorstwa, aby uzyskać od Skałłona zatwierdzenie tych wyroków

Amelia Kaminkowa z wielkim bukietem w ręku i Stefania Sempołowska chwyciły generała na ulicy, już w jego drodze na Zamek. Wysłuchawszy o co chodzi, oświadczył, że w godzinach popołudniowych zawiadomi telefonicznie Amelię Kaminkową o wynikach swojej rozmowy ze Skałłonem. Istotnie, o oznaczonej porze dał znać, że uzyskał dla wszystkich skazańców ułaskawienie.

Nazajutrz pan generał zgłosił się w banku i zwrócił się do p. Kaminki z pytaniem: „Czy pan wie, w jakich to sprawach i na czyją rzecz zabiega pańska małżonka?“, a otrzymawszy odpowiedź twierdzącą, oświadczył uprzejmie: „Wobec tego proszę mi pożyczyć dziesięć tysięcy rubli“. Pan generał żądane pieniądze natychmiast otrzymał, zaś Amelia Kaminkowa, uczyniwszy pierwsze tak wspaniałe posunięcie, przystała odtąd zupełnie do Czerwonego Krzyża. Jej bezpieczne salony zakipiały życiem ulicy Królewskiej: tam odbywały się narady, tam gromadzono pieniądze, tam szyto bieliznę, przygotowywano wiele tysięcy paczek żywnościowych i odzieżowych do więzień i na Syberię.

---

*) Słowo wspomnienia należy się dziwnej pracowniczce, osobie wielkiego serca, zmarłej w tych dniach w Warszawie w bardzo sędziwym wieku. Mowa tu o Runi Weinberg, matce uczonego egiptologa, który wówczas więziony był w Cytadeli warszawskiej. Matka, szukając sposobów ulżenia jego losowi, trafiła na Królewską. Przyjrzawszy się trudom, zabiegom i troskom działaczek Czerwonego Krzyża, zapragnęła im pomóc w jakikolwiek sposób, a nie widząc innego zastosowania dla swych dobrych chęci, podjęła się zwyczajnej pracy fizycznej. Odtąd na swych wątłych barkach dźwigała paczki: dwie po pół puda na raz, cukru i chleba. I choć syn jej dawno już był daleko poza granicami kraju, całymi latami wytrwale nosiła na grzbiecie ciężary, odmierzając swoją zwykłą drogę na Pawiak i do Cytadeli. Godzi się przy tej sposobności wspomnieć o takim samym cichym poświęceniu i bezimiennym wieloletnim trudzie Marii Woronieckiej, oraz dwu robotnic: Karoliny Jung, siostry skazanego na katorgę, i Henryki Tieger, której syn zmarł jako więzień w X pawilonie.

Szczegółowe uzasadnienie tego wyroku jest cennym dokumentem historycznym, a tutaj o tyle ważnym, że stanowi w gruncie rzeczy portret biograficzny oskarżonego i podnosi pomimo intencji autorów znaczenie i ogromną wartość społeczną działalności Stanisława Patka. Z tych względów rzecz ta zasługuje na przytoczenie w najważniejszych wyjątkach:

„Izba sądowa stwierdziła, że od czasu wydania prawa o trybie rozpatrywania spraw o zbrodnie stanu Patek poświęcił się obronie oskarżonych politycznych, występując głównie w Wojennym Sądzie Okręgowym, który wyrokował w sprawach o najcięższe zbrodnie stanu. Obrońcami przestępców politycznych byli prawie zawsze ci sami adwokaci, na których czele stał adw. Stanisław Patek. Z artykułu Patka p. t. „Szybka pomoc prawna w sprawach politycznych" wynika, że przy komitecie porad adwokatów przysięgłych, istniejącym przy warszawskim Sądzie Okręgowym powstał oddział, składający się z 40 członków, występujących wyłącznie w sprawach politycznych. Jako delegaci tego oddziału wymienieni są adw. Krzycki, Papieski i Patek, ale jak wykazuje statystyka, Patek występował publicznie niemal bezustannie i bronił w wojskowym sądzie aż do zupełnego wyczerpania.

Choć obecnie adw. Patek stara się w oczach Izby zająć skromne stanowisko szeregowego obrońcy w liczbie innych czterdziestu, to jednakże dążenie to do pomniejszenia swej roli nie osiąga celu, ponieważ okoliczności niniejszej sprawy dowodzą przeciwnego stanu rzeczy i dlatego prokurator Izby miał zasadę twierdzić, że Patek, nie zaś kto inny, założył biuro dla obrony oskarżonych politycznych. Niezależnie od kierownictwa tym biurem, adw. Patek w swym mieszkaniu w domu Nr 25 przy ul. Królewskiej w Warszawie otworzył kancelarię adwokacką też głównie dla spraw politycznych. Tam zgłaszali się krewni oskarżonych politycznych po informacje i porady oraz ze skargami na rzekome gwałty, zadawane oskarżonym podczas śledztwa i tam jak stwierdził Patek, otrzymywali wskazówki, rady i pociechę, skutkiem czego spojrzenia wszystkich przestępców politycznych, którzy znaleźli się w ciężkim położeniu oraz ich krewnych, zaczęły kierować się w stronę Patka, jako jedynego człowieka, mogącego pomagać im z powodzeniem w walce z wymiarem sprawiedliwości. Dlatego to, gdy Wysocki i inni pociągnięci do odpowiedzialności w sprawie żyrardowskiej organizacji PPS zaprojektowali cofnąć przyznania się do winy, uczynione podczas śledztwa pierwiastkowego, wszyscy doradzać zaczęli ich krewnym, aby udali się do Patka po „dobrą radę", jak naprawić zło, popełnione przez nieoględne przyznanie się do winy.

„Do Patka zwracają się jeszcze i dlatego, że jego kancelaria jest jedyną w Warszawie specjalną instytucją i nawet sam Patek nie wymienia innej podobnej kancelarii. Izba sądowa jednak z istnienia tej kancelarii ani z specjalizacji w sprawach politycznych nie czyni Patkowi zarzutu i nie poczytuje mu tego za winę, gdyż wymiar sprawiedliwości w sferze obrony nie czyni różnicy między oskarżonymi politycznymi i niepolitycznymi, przeciwnie, Izba uznaje, że sumienni obrońcy specjaliści w sprawach politycznych mogą okazać wymiarowi sprawiedliwości bardziej skuteczną pomoc, niż obrońcy przypadkowi i mało obznajmieni z programami partii rewolucyjnych. Ale nie na tym kończy się rola i znaczenie adw. Patka w sprawach partii rewolucyjnych. W kancelarii jego znalazła przytułek nielegalna instytucja, która przyswoiła sobie miano „Warszawskiego Czerwonego Krzyża" i „Związku pomocy ofiarom politycznym". Zadania obu tych instytucji były jednakowe, ale różnica między nimi polegała na tym, że „Czerwony Krzyż" działał tajnie, zaś „Związek" jawnie. Ponieważ jednak oba miały te same cele, znajdowały się pod najbliższą opieką tej samej osoby, adw. Patka, i rzec można, prawna siedziba obu była ta sama — mieszkanie Patka, to dochodzi się do wniosku, że „Czerwony Krzyż" był tajnym „Związkiem" i na odwrót — „Związek" był jawnym „Czerwonym Krzyżem". Na mocy rozporządzenia Warsz. Gener.-Gubernatora w styczniu 1906 r. „Związek" przestał istnieć, jako jawnie działające stowarzyszenie, jednakże w dalszym ciągu funkcjonował tajnie i sąd miał dowody, że różne osoby zwracały się do Patka o wsparcia pieniężne z funduszów „Warszawskiego Czerwonego Krzyża" i sąd uważa za dowiedzione, że Patek rozporządzał bezpośrednio sumami rewol. „Czerw. Krzyża". Taka energiczna i wielostronna działalność Patka na rzecz rewolucji nie mogła nie otoczyć jego nazwiska jak najszerszą popularnością w świecie rewolucyjnym bez względu na różnice partii".

Oburzenie, jakie wywołała sprawa Stanisława Patka ogarnęło nie tylko Polskę, ale jeszcze w większym stopniu całą Rosję ówczesną. Oprócz ustnych, oddzielnych i zbiorowych protestów całej palestry rosyjskiej, najwybitniejsi prawnicy opublikowali w Petersburgu specjalną broszurę p. t. „Sprawa adwokata Patka". Tam poddali ją bezlitosnej krytyce ze stanowiska jurydycznego a jednocześnie uczynili z niej kwestię honoru rosyjskiego świata prawniczego. W olbrzymiej sali Zjazdu Sędziów w Petersburgu, wypełnionej po brzegi, nie licząc się z obecnością sekretarzy senatu i delegatów ministerstwa sprawiedliwości najsławniejsi ówcześni prawnicy z Nabokowym na czele założyli gwałtowny protest przeciw wyrokowi warszawskiej Izby Sądowej. Adwokat Zarudnyj grzmiał potężnie z mównicy, dowodząc, że gwarantowanie tajemnicy adwokackiej przez



STANISŁAW PATEK

ambasador Rzeczypospolitej

prawodawstwo jest podstawą prawidłowego działania obrony sądowej. O ile sprawa adw. Patka — wołał w uniesieniu adw. Zarudnyj przy gorącym aplauzie całej sali—nie będzie przez senat umorzona, nie wiem, czy będę mógł dłużej pozostać w składzie palestry rosyjskiej!

Nie sposób tu przypominać wszystkich wspaniałych i zasadniczych wystąpień, mających nie tylko znaczenie historyczne, ale również i atkualne. Przytoczymy tylko kilka zdań jeszcze z płomiennego przemówienia innej sławy ówczesnej, adw. Bielackina, charakteryzujących osobę Stanisława Patka: „adw. Patkowi zarzucono właśnie to co jest największą zaletą obrońcy, — to mianowicie, że się przejmował sprawami oskarżonych tak, jak własnymi. Warszawska Izba Sądowa, doszukując się daremnie winy St. Patka, brak dowodów pokryła szumnymi frazesami, w rodzaju tych, że demoralizował podsądnych, wspomagając ich moralnie i materialnie, i tym rzekomo zachęcał ich do przestępstw. W moim zaś głębokim przekonaniu tacy obrońcy, jak Stanisław Patek nie tylko nie powinni być pociągani do odpowiedzialności, lecz wskazywani za wzór, godny naśladownictwa i stawiani na piedestale, jako chluba i ozdoba palestry".

Wśród innych poważnych opinii zasługuje na uwagę opinia poniższa: „Izba, odrzuciwszy zeznania sędziów i adwokatów, uznała wynurzenia zdrajcy Bartosa za wystarczające do potępienia Stanisława Patka, jako obrońcy. Również rzeczą bezpodstawną z punktu widzenia sądu i prawa jest potępienie Patka za zorganizowanie pomocy dla rodzin więzionych i karanych w sprawach politycznych. Okazywanie pomocy nieszczęśliwym i z głodu przymierającym rodakom jest prawem i obowiązkiem nie tylko adwokata przysięgłego, lecz także prawem i obowiązkiem każdego obywatela. Rzeczą słuszną było zaopiekować się biednymi rodzinami więźniów, a gdy ich liczba wzrastała niepomiernie, rzeczą również słuszną było zorganizować dla nich pomoc odpowiednią. Spełnić to zadanie mógł równie dobrze prawnik, jak lekarz czy inżynier. Patek oddał się tej pracy jawnie, nie jako adwokat, lecz jako Polak i obywatel kraju, łącznie z innymi obywatelami i obywatelkami, które sprawie tej poświęcały wiele trudu, starań i zabiegów".

W 1918 r. Stanisław Patek, jako mąż zaufania Marszałka Piłsudskiego brał udział w pracach Kongresu Wersalskiego. W 1920 r. objął tekę ministra Spraw Zagranicznych. Od 1921—1926 r. był posłem w Tokio, od 1926 do 1932 r. posłem w Moskwie, gdzie zawarł pakt nieagresji między Polską a Z. S. R. R., oraz Konwencję Koncyliacyjną. Od 1933 do 1936 r. był ambasadorem w Waszyngtonie. Ogłosił drukiem m. in. rzecz „O pojedynkach" i studium p. t. „Stan ekonomiczny Polski za Stanisława Augusta".

Powyższy krótki i suchy wykaz prac, stanowisk i godności daje wyobrażenie o szlakach i o trudzie życia Stanisława Patka, o różnorodności jego talentów i zainteresowań, o ogromie jego zasług dla narodu i Rzeczypospolitej!

Ale w sercu i pamięci Warszawy utrwalił się Stanisław Patek najmocniej jako obrońca cierpiących i poniewieranych. Utrwalił się jako uosobienie honoru demokracji polskiej, walczącej o wolność i niepodległość. Utrwalił się jako uosobienie odwagi moralnej, która działała w naszym życiu ówczesnym jako dobroczynna i silna przeciwtrucizna niewoli.

HENRYK LUKREC.

Szwajcarski Reymont

Motto: „Wszędzie trzeba walczyć, nawet nie po to aby czynić postępy, lecz tylko aby trwać".

Der-bo-ren-ce — przeciągle i smutno dźwięczy słowo, gdy pochylony nad wąwozem pasterz z Aire lub Anzeindaz rzuci je w oddal gór. Odpowie mu potłuczone o skały echo i znów zapanują zakłócone niepotrzebnie cisza, smutek i śmierć *).

Poranne słońce, gdy wzniesie się ponad ścianami, oświetli głębię, w której dziś już nie ma nic, nie ma znaku życia. Naodwrót, wszystko pokryte jest tym, co mu przeciwne. Dawnymi czasy szło tutaj dużo ludzi. Szli z Aire, z Premier, z wiosek kraju Valais. Przeprowadzali się ze swymi brunatnymi krowami i kozami na zielone pastwiska. Było tak dawnymi czasy. Potem... obsunęła się góra i zniknęło kwitnące Derborence. Nie jest to anegdotą, ani wypadkiem odosobnionym. Zdarza się on w górach często. Opowieść szwajcarskiego pisarza C. F. Ramuza *) jest historią takiej katastrofy. Zginęli w czasie niej wszyscy. Wszyscy z jednej wioski. Dla niej było to nieszczęściem. Na miejscu tętniącego do niedawna życiem pastwiska Derborence leżała teraz kamienista pustynia. Jeden tylko pasterz zdołał się uratować. Po kilkutygodniowej walce ze śmiercią pod złomami, powraca do powietrza i przestrzeni. Przeżył straszne chwile ucisku góry nieszczęścia, która się nań zwaliła. Powstał jednak i chce żyć. Wędruje do swej wioski. Ludzie jednak już o nim zapomnieli. Biorą go za upiora i strzelają doń. Dlaczego? Oto arcyludzki problem tej opowieści, która jest tym pytaniem, rzuconym przez człowieka ludzkości. „Dlaczego" podnosi się ciągle z gór, z równin, z zewsząd, gdzie trzeba walczyć. Walka o byt od jednego do drugiego bieguna ziemi jest jednakowa. Mogą być tylko różne jej formy. Tu przeciw skale, tam — przeciw zimnu, gdzieindziej — przeciw wodzie. Dlatego też biedny pasterz Antoni Pont nie jest samotny. Każdy z nas przeżył już lub przeżyje ucisk jakiejś góry, która się nań zwali niespodzianie. Wydobyć się jest wówczas trudno. Bohater jednak dokonał tego najszlachetniejszego z trudów. Dźwignął się wbrew przeciwnościom wzwyż. Czy może więc być obojętny ludzkości, dla której ten trud jest krzyżem codziennym?

Czy można Antoniemu Pont nie podać ręki? Spotkamy go napewno na każdym zakręcie ulicy, na

*) *C. F. Ramuz:* Pastwisko na Derborence — Przekład *Stefana Flukowskiego* — Warszawa — Kraków, 1938. Wyd. J Mortkowicza.

poddaszu i w suterynie, wszędzie, gdzie gnieździ się rozpacz i nędza. Nakazem autora, choć niewypowiedzianym głośno, jest mu pomóc. Największy przedstawiciel dzisiejszej młodokatolickiej twórczości szwajcarskiej C. F. Ramuz ukazał w swej powieści nie tylko symboliczny obraz życia i dał wyraz swemu zdrowemu instynktowi społecznemu, ale stworzył też skończone dzieło sztuki. Jako filozof — Ramuz będzie zrozumiały przez wszystkich. Jako artysta — szczególnie bliski jest literaturze polskiej. Płonne są obawy poety, że książka jego może być daleka wyobraźni naszego czytelnika. Chociaż nasza ojczyzna nie ma tak wysokich gór, jakie są w ojczyźnie pisarza, mamy jednak swoje Karpaty i Tatry. Swoje w nich lodowce i pastwiska. Jak wyobraźnię twórczą Ramuza kształtowały Alpy, tak i w sztuce naszej zarysował się niemniej wyraźnie lud i krajobraz górski. Nieuświadomionym może wyrazem tego pokrewieństwa z polską twórczością jest niezachwiana pewność artysty, że „człowiek nizin zdoła siebie odnaleźć w człowieku gór". Jak Ramuz swego człowieka gór, by został zrozumiany, sprowadził na niziny, tak Reymont powiódł swego chłopa z polskich nizin na wyżyny i w świat.

Dlatego zestawienie tych dwóch pisarzy to nietylko zobrazowanie pełni najgłębiej pojętego w ich wspólnym dziele humanitaryzmu, człowieczeństwa i najwyższych, moralnych praw współżycia ale i ukazanie zarazem przedziwnego pokrewieństwa ich natur artystycznych, tworzących jakby we wzajemnym porozumieniu, a jednocześnie w niewiedzy o sobie; dyszący bogactwem barw i harmonią tonów, jednością palety malarskiej i podobieństwem kolorytu pisarskiego potężny — drgający mocą trudu żywiołów ich sztuki: człowieka, ziemi i przyrody — obraz.

Ramuz i Reymont są „synami ziemi".

Obaj reprezentują typ nawskroś regionalny. Wrośnięci w swe góry i niziny wszystkimi włóknami swych serc i nerwów, czerpiący soki ze swej gleby rodzimej, obaj uczą ją być niebiem. I może ten fakt będzie usprawiedliwieniem dla ich przyszłości, że tylko ci odczują ich dzieło, którzy dalecy są od kosmopolitycznej kultury, a umieją wśród tysięcznych odgłosów przyrody, w życiu i rytmie ich swojskiej twórczości dostrzec refleksy wartości wielkich i prawdziwie trwałych.

Stosunek obu pisarzy do potężnych zjawisk życia i duszy ludzkiej jest jednakowo prosty i poważny. Z dzieła ich emanuje jakieś religijne poddanie się ustalonemu porządkowi rzeczy. Jego obszar — wierzą — jest tylko dostępny poznaniu ludzkiemu, choć jest ogromny i często przerastający umysł.

A dalej — poza tym obszarem — nacóż się zda wieczny rewolucjonizm? Pozostanie on i tak, zarówno dla laików, jak i dla uczonych dziedziną, gdzie duch i myśl napróżno podejmują się swej syzyfowej pracy.

Tym się tłumaczy, że droga twórczości obu tych pisarzy jest jasna i spokojna a sztuka ich, z takich założeń płynąca — realistyczna, choć zawsze pod powłoką zewnętrzną tego realizmu, będzie się kryło przeczucie innej, wewnętrznej warstwy.

Bohaterami Reymonta i Ramuza są jednostka i gromada.

Stopiona w wyższą jedność jakimiś wspólnymi prawami, jest ona nie tylko symbolem społeczności lub warstwy narodu jak w „Chłopach", ale ukazana przy pracy, podczas zabawy i modlitwy, czy też w czasie miotających nią uczuć, daje zawsze w jednym perspektywicznym rzucie całe bogactwo charakterów i indywidualności. Mimo, że w „Chłopach" bohaterem głównym jest gromada, nie zacierają się w niej poszczególni chłopi. Boryny, Antki, Mateusze i Jagny nie opuszczają swej wsi, a jednak widzimy na tle wszystkich każdą z tych postaci zosobna. Występują one ze wszystkimi swymi cechami dobrymi i złymi ze swą chciwością i zaborczością, z pierwotną dzikością i swym katolicko - pogańskim przeświadczeniem, że skazani są na walkę wieczną i miłość z przyrodą i ziemią. Ramuz koncentruje pomysł swej opowieści w jakimś tragicznym micie o człowieku, miłości i poświęceniu. Antoni Pont w czasie katastrofy zapomina o swym starszym towarzyszu. Jest to instynkt samozachowawczy, ale przeradza się w nadludzkie poświęcenie, gdy zwyciężywszy w sobie uczucie egoizmu, pasterz wraca, by znów zagrzebać się w kamiennej pustyni. Budzi się w nim człowiek. W poczuciu nieświadomym, że naruszył prawo gromady, spieszy na ratunek Serafinowi. Indywidualna żądza życia ustępuje przed nakazem społecznym pomocy bliźniemu.

I w szkicu Reymonta ginie w płomieniach podpalacz swojej wsi. Wystąpił bowiem przeciw gromadzie. Poniósł więc karę — „Sprawiedliwie". Zdrowy pierwotny instynkt społeczny każe Teresie zwyciężyć wszystkie przeszkody, by ratować męża.

Każe on też matce powiedzieć na widok śmierci syna: Sprawiedliwie! Ład społeczny oparty jest na prawie kontrastu.

Przecież górale z Aire postąpiliby na miejscu Antoniego Pont tak samo. Antek przygarnąłby pewnie Jagnę. Kobiety lipeckie nie obrzuciłyby jej błotem. Nie postąpiłyby tak jednostki. Ale cała wieś Lipce i cała wieś Aire zareaguje inaczej. Na mocy jakiegoś gromadnego kontrastu litość w tych samych wypadkach przerodzi się w okrucieństwo, miłość — w nienawiść. Najbardziej wzniosłe, najszlachetniejsze porywy indywidualne niepodobne są do wybuchających na tym samym tle uczuć zbiorowych. Tak chce naturalistyczna prawda życia. Chociaż impresjonistycznemu rozmachowi talentów obu pisarzy odpowiadają natury bujne i pierwotne, obrazy życia wielkie i patetyczne, umieją oni jednak widząc całość i ogrom zjawiska, dostrzec najdrobniejszy, najbardziej ukryty jego przejaw. Ta umiejętność obserwacji i analizy sprawia, że nie uchodzi nigdy ich oczom nic, coby mogło jedną postać odróżnić od drugiej, jeden obraz tej samej rzeczy od innego. Widzimy zawsze zarówno dobrze całość, jak i jej poszczególne części. Reymont jest poetą nizin. Ramuz jest poetą gór.

Ramuz i Reymont z jednakową siłą i sugestywną aż do poczucia dotykalności plastyką malują obraz żywiołów w tej walce. Dzięki swej nadzwyczajnej pamięci i zdolności obserwacji słyszą najdrobniejsze barwy, szmery i odgłosy przyrody, widzą najlżejsze odruchy duszy toczącego z nią bój — człowieka.

Przyroda u obu artystów tworzy i podmalowuje nastrój. Jest zmienna i kapryśna — jak los zależnych od niej istot. Bogatą swą, aż do nieprawdopodobieństwa, kolorystyką nadaje każdemu obrazowi inny ton, inne tło, uruchamia go i pobudza do dynamicznej

wprost prężności. Nigdy jednak nie staje się dziedziną wyładowań niezdrowych i jej obcych.

Walczą w niej namiętności. Są one jednak naturalne i konieczne, jak koniecznym jest wicher, burza i słońce.

I dlatego też w całej twórczości Ramuza i Reymonta panuje ta atmosfera moralnie zdrowa i czysta. Jeżeli nawet przeciągnie niekiedy jakaś burza zmysłowa, nie zatruje ona, a oczyści atmosferę.

W porównaniu z emocją, erotyzmem i perwersją sztuki obecnej, twórczość Ramuza i Reymonta była i pozostanie tym ożywczym tlenem, którym zechcą odetchnąć w zaduchu płuca. Chociaż okresy życia obu pisarzy nie zbiegły się w jednym czasie, stosunek ich do współczesności jest ten sam.

Zmieniło się już i znów zmienia się tło dziejowe. Przedłużą się perspektywy i przesuną kąty patrzenia na ich sztukę. Pozostanie w niej jednak to, czego czasy nie zdołają pomniejszyć ani przekształcić.

Z punktu widzenia literatury dnia dzisiejszego największą ich słabością, a ze stanowiska prawdziwego artyzmu — najwspanialszą zaletą jest ich prostota. Ramuz i Reymont ani nowoczesną wiwisekcją duszy, ani komplikacją techniki, ani subtelną, karkołomną kompozycją i analizą, ani wyrafinowanym estetyzmem i intelektualizmem nie zadowolą i nie porwą mody obecnej. Będzie ona tego wszystkiego napróżno szukała w ich dziele.

Trwają obaj jak dwie greckie kolumny, niewzruszone i wzniosłe w swym spokoju. Przysypuje je starannie kurz i pył różnych psychologizmów, futuryzmów, ferdydurkizmów i innych pseudoliterackich, aktualnych i mijających już „izmów". W każdym jednak podmuchu nowych czasów, gdy wicher ich zmiecie niepotrzebny osad, odsłoni się twórczość Ramuza i Reymonta, niezmiennie doskonała, wielka i piękna, bo zbudowana z wartości najgłębszych i najtrwalszych. *WŁADYSŁAW ROMANOWSKI.*

Tomasz Jefferson

W rocznicę amerykańskiej Deklaracji Niepodległości myśl mimo woli niemal zwraca się w stronę głównego jej twórcy, ideologa walki niepodległościowej Stanów, jednego z czołowych teoretyków demokracji na progu nowej epoki. Dziwnie świeżo, dziwnie żywo brzmią jego słowa dzisiaj, po latach stu sześćdziesięciu, choć tak wiele się zmieniło od dni Tomasza Jeffersona.

Niepodległościowiec, bojownik o wolność narodu.

Był Tomasz Jefferson jednym z czołowych twórców ruchu, zmierzającego do wyzwolenia demokratycznych kolonii chłopów i mieszczan anglosaskich z pod dławiącego ucisku półfeudalnej i pół-absolutystycznej władzy angielskiej Korony. Służył mu jako teoretyk, pisząc na długo przed ostatecznym zerwaniem z Anglią swe traktaty, w których nieco przyschłe już liberalne doktryny angielskich Whigów ożywiał krwią młodej, przyrodzonej niemal demokracji wolnych, równych między sobą kolonistów, władających na równi pługiem i orężem, rządzących się sami na własnych wolnych zebraniach. Służył jej jako polityk i organizator, tworząc kluby „radykałów", partię rewolucjonistów owego czasu, która stała się podstawą nowej insurekcyjnej władzy. Służył temu ruchowi jako dyplomata, usiłując połączyć go z kołami postępowymi Europy, tymi kołami, w których wtedy właśnie dojrzewały już poglądy Wielkiej Francuskiej Rewolucji.

Przyjaciel Wielkiej Rewolucji.

Został temu sojuszowi wierny i wtedy, kiedy traktaty o równości przemówiły mową gilotyny, kiedy tłumy sankiulotów z Montmartre i St. Antoine wzięły na siebie wielką rolę szermierzy demokracji. Nie darmo był jednym z niewielu cudzoziemców, których parlament Wielkiej Rewolucji zaprosił do współpracy nad ułożeniem pierwszej rewolucyjnej konstytucji. Nie bał się tłumów i ich buntów. „Jedna rebelia na kilkanaście lat, to rzecz pożyteczna — pisał. — Drzewo wolności, aby rosło, musi być od czasu do czasu skrapiane krwią tyranów i krwią obrońców wolności." Widział w Wielkiej Rewolucji początek „ogólnej reformacji w Europie i odrodzenia ludów europejskich do nowego życia".

Teoretyk demokracji.

Jako polityk i jako teoretyk prawdziwie wierny był ideałom demokracji. Wierzył, że trzeba zbudować „system, w którym zostanie wykorzeniony wszelki ślad dawnej lub przyszłej arystokracji i zostaną stworzone podstawy pod prawdziwie republikański rząd". Widział w demokratycznej republice „jedyną formę rządu, która nie jest w wiecznej wojnie z prawami ludzkości". Rozumiał to, czego dotąd nie chcą zrozumieć „elitaryści" wszelkiego chowu: że państwo najsilniejsze jest nie wtedy, kiedy trzyma za pysk" swych obywateli, lecz wtedy kiedy ich przywiązanie do własnego rządu stanowi jego główne oparcie. „Najmocniejszy rząd jest wtedy — pisał — gdy każdy obywatel uważa naruszenie porządku publicznego za swą własną sprawę".

Rozumiał — praktyk demokracji — niezbędne warunki funkcjonowania wszelkiej demokracji w łonie współczesnego społeczeństwa, rozdzieranego przeciwieństwami poszczególnych warstw społecznych. Przewidział jakby tak modne dziś koncepcje „demokracji kierowanej", „demokracji autorytatywnej" i wszelkich innych plebiscytarnych cezaryzmów. Dał im odpowiedź wyraźną i dobitną.

„Społeczeństwo, w którym nie ma sporów politycznych — pisał — to rzecz, która nigdy nie istniała. W każdym wolnym społeczeństwie muszą istnieć różniące się od siebie stronnictwa, muszą istnieć różnice zdań i poglądów." Słowa te zachowają swoje głęboko prawdziwe znaczenie, póki istnieć będą dzisiejsze społeczeństwa, póki nie ulegnie podstawowej przemianie struktura społeczna cywilizowanej ludzkości.

Wróg niewolnictwa.

Jako jeden z pierwszych w Ameryce podjął Tomasz Jefferson walkę z tą hańbą wolnej republiki, jaką stanowiło niewolnictwo murzynów. Już w pierwszych swych wystąpieniach w parlamencie walczył on przeciw barbarzyństwu niewolnictwa. Walce tej został wiernym aż do śmierci. „Zniesienie niewolnictwa — pi-

sał — jest możliwe. Trzeba bronić każdego planu, próbować każdej drogi, która nas może przybliżyć do tego celu."

W walce przeciw niewolnictwu przychodziło mu odpierać odwieczne argumenty wrogów wolności i demokracji broniących wszelkich przywilejów i wszelkiego „elitarnego" wyzysku, z powołaniem się na rzekome zacofanie czy niższość umysłową wyzyskiwanych i uciskanych.

„Ich poziom umysłowy — pisał o murzynach — nie może być miarą ich praw. Sir Izaak Newton przewyższał innych rozumem, ale nie był przez to panem ich osobowości, ani ich własności." Czy słowa te nie są odpowiedzią i dla dzisiejszych „elitarystów", co różniąc się od Newtona — in minus, rzecz jasna — rozumem, pretendują do roli nieomylnych władców, nie kontrolowanych przez nikogo?

Ten wielki mąż nie osiągnął jednak za swego życia zniesienia niewolnictwa w całych Stanach. Usiłowania w tym kierunku rozbiły się o egoizm plantatorów jego rodzinnego Południa. Ale jego wpływ sprawił, że od r. 1800 zniesiono niewolnictwo na Północy i Zachodzie, tworząc w ten sposób dzielnice, którym obcy był duch plantatorski, dzielnice, o które mógł oprzeć się Lincoln przy ostatecznej likwidacji niewolnictwa.

Przyjaciel ludu.

Ten syn zamożnych plantatorów, dyplomata i prezydent Stanów rozumiał, że istotą wszelkiej demokracji jest nie ta czy inna formuła, lecz prawdziwa wolność rzesz ludowych, rzeczywisty stosunek państwa do tych rzesz.

„Ludzie — mówił — dzielą się na dwa odłamy: tych, którzy nie dowierzają ludowi i boją się ludu, co chcą odebrać mu wszelkie prawa i oddać je warstwie wyższej, oraz na tych, którzy identyfikują się z ludem, mają doń zaufanie, kochają go i uważają za najuczciwszego i najpewniejszego stróża dobra publicznego."

Sto kilkadziesiąt lat minęło od chwili, gdy słowa te zostały wypowiedziane. Przesunęły się od tego czasu okopy walki, upadło niewolnictwo, zmieniły się stroje, sztandary, hasła, zawołania. Ale czy charakterystyka dwóch zasadniczych obozów, obozu reakcji i obozu postępu, obozu strachu przed rzeszami ludowymi i obozu wiary w lud, nie pozostała dotąd głęboko słuszną i prawdziwą?

Szczery i rzetelny demokratyzm Jeffersona znajdował dobitny wyraz w jego stosunku do ludzi. „Jeżeli można być czegoś zupełnie pewnym, to jestem zupełnie pewny, że nie ma żadnej różnicy pomiędzy najwyżej a najniżej postawionym człowiekiem na ziemi". Stosował się do tego w praktyce. To on z pałacu prezydenta Stanów wyrzucił zawleczoną tam z europejskich dworów etykietę, otworzył jego drzwi dla każdego obywatela.

Wierzący chrześcijanin, ale anty-klerykał.

Był chrześcijaninem, był człowiekiem wierzącym. „Nie mógłbym być ateistą — pisał. — Nie ma czystszego i wznioślejszego systemu moralności jak zawarty w Ewangeliach."

Ale nienawidził robienia z religii narzędzia walki o władzę i doczesne korzyści. Dlatego był wrogiem klerykalizmu. „Od kleru — pisał — nie oczekuję łaski. Prawa nasze nie pozwalają im splamić rąk krwią, ale kłamstwo i oszczerstwo pozostały jeszcze do ich dyspozycji. Kupcy duchowni nie kochają nikogo. W każdym kraju i w każdym wieku byli oni wrogami wolności".

I dodawał z goryczą, przeciwstawiając doktrynę religijną jej ziemskim przestawicielom: „Gdyby doktrynę Chrystusową głoszono zawsze ustami tak czystymi, jak usta Chrystusa, cały świat dawno byłby chrześcijańskim".

Stąd też był jednym z pierwszych i najkonsekwentniejszych bojowników o wolność sumienia w Stanach Zjednoczonych.

Przyjaciel oświaty.

Demokrata i przyjaciel ludu, rozumiał, że lud, by mógł korzystać należycie z demokratycznych swobód i praw, musi być oświecony. Żądał bezpłatnej szkoły powszechnej, bezpłatnego dostępu do szkół średnich i wyższych dla wszystkich obywateli. Jako prezydent dbał o szkolnictwo. Bezpłatne ogólnie dostępne biblioteki publiczne, to również jedna z myśli po raz pierwszy realizowanych przez Jeffersona.

„Żydokomuna" sprzed stu kilkudziesięciu lat.

Rzecz jasna, że działacz polityczny, prezydent Stanów, niechętny wielkim magnatom, kupcom, plantatorom, głoszący zaufanie do plebsu, uważający drobnych chłopów-farmerów za najcenniejszą część społeczeństwa, żyjący za pan brat z „prostymi ludźmi", był solą w oku warstwom uprzywilejowanym. Zwalczały go też, jak zwalczają dotąd każdą próbę naruszenia ich przywilejów.

„Demokracji nie można tolerować u władzy w żadnym kraju. Każdy mądry człowiek widzi jej niedoskonałości. Każdy uczciwy człowiek widzi jej oszustwa. Każdy odważny człowiek, chwyta za broń, by przeciwstawić się jej przemocy. Próba, jaką robimy z demokracją, doprowadzi nas do wojny domowej, ruiny i anarchii."

Słów tych nie zaczerpnęliśmy z żadnej ulotki reakcyjnej przeciw Zjednoczeniu Ludowemu we Francji, z żadnego manifestu zwolenników gen. Franco, czy innego Codreanu, z żadnej enuncjacji udowadniającej monopol tej czy innej „elity" na sprawowanie rządów w Polsce. Znajdujemy je w odezwie reakcji amerykańskiej przeciw kandydaturze prezydenckiej Tomasza Jeffersona sprzed lat stu kilkudziesięciu. Jak mało doprawdy zmieniły się od tego czasu argumenty reakcji!

Duch Jeffersona żyje dotąd.

Ale kalumnie reakcji nie poderwały miłości narodu do Tomasza Jeffersona. Dwukrotnie sprawował urząd prezydencki a kiedy potem, zgodnie z wymogami demokratycznej tradycji wycofał się z bieżącej polityki, pozostał „great old man" amerykańskiej demokracji.

Rzecz jasna i Tomasz Jefferson nie mógł wyjść poza ramy objektywnych, historycznych możliwości. Republika, której był współtwórcą, nie zniosła — jak o tym marzył — wszelkiej arystokracji, nie obaliła panowania pieniądza. Wielki kapitał rozwijając się stopniowo, przeniknął i poprzez jej demokratyczne formy. Dawna partia Jeffersona, demokraci, stała się też narzędziem obrony nowych i starych przywilejów. Ale mimo to — praca Jeffersona nie poszła na marne.

Duch Jeffersona żyje w demokratycznych liberalnych instytucjach Stanów, pozwalających bronić wolności i postępu w warunkach o wiele korzystniejszych, niż w wielu krajach starej Europy.

Żyje w tradycji mas ludowych, nienawidzących „samowładnych despotów" *), wiernych ideałom wolności, ideałom Jeffersona.

Żyje w umysłach najlepszej części inteligencji amerykańskiej, wierzącej, że wolność nie jest pustym słowem, ani staroświecką zabawką.

Jeśli obrona demokracji i postępu, jeśli walka z mo-

*) Patrz w Nr 19 „Epoki" artykuł wstępny p. t. „W rocznicę deklaracji niepodległości".

nopolistami władzy politycznej i potęgi gospodarczej rozwija się w dzisiejszych Stanach Zjednoczonych o wiele pomyślniej, niż w starej Europie, obok wielu innych objektywnych i subjektywnych przyczyn, nie mały jest w tym udział tej demokratycznej tradycji, której wcieleniem jest Tomasz Jefferson! *ROMAN LANG.*

Dawne próchno i nowe ciernie

Znany publicysta wiciowy, ob. Józef Niećko bardzo trafnie charakteryzuje na łamach „Zielonego Sztandaru" przeciwludową, reakcyjną treść naszych programów „elitarnych", zrodzonych z głębokiej niewiary w siły twórcze ludu:

„Dzięki niewierze tej we własną moc narodową, dzięki swej szlacheckiej niechęci i nienawiści do chłopa po swych ojcach - targowiczanach odziedziczonej, zabrakło dzisiaj naszym elitarystom własnej idei narodowej. Na wzór staroszlachecki podchwytują nasi elitaryści ideowe strzępy od obcych i ze strzępów dzisiejszej Mussolinerii i Hitlerii usiłują ulepić oblicze Polski, zmierzają do Polski w staroszlacheckim kontuszu i karabeli wymierzonej w co główniejsze korzenie istoty bytu narodowego. O, zapewne w proch się rozsypią zbutwiałe kontusze i rozprysną się zardzewiałe karabele i wiatry rozwieją staroszlacheckie próchno — bo nie masz takiej siły na świecie, któraby zdołała wyszarpać chłopa z szeregów idących do Polski na chłopskich sercach się gruntującej".

W siły twórcze ludu nie wierzą ci, którzy się tych sił boją — ci, których blady strach oblatuje, gdy widzą, jak rosną i krzepną szeregi ludowe, jak potężnieje moc demokracji. Są tacy, którym się zdaje, że „chytrymi" kombinacyjkami uda się zawrócić chłopów z drogi, na którą wstąpili, że uda się wykoleić ruch ludowy na tory kompromisu z reakcją. Płonne nadzieje! Wielomilionowa rzesza chłopska, która stanowi żywą siłę ruchu ludowego, ta rzesza, która jest — razem z robotnikami i pracującą inteligencją — potężną sprężyną walki o demokrację, wiernym oddziałem wielkiej armii wolności, żądnymi, choćby pozornie najponętniejszymi obietnicami, nie da się skusić na sanacyjne czy endeckie podwórko. Nie porzuci sztandaru demokracji. Kto sądzi, że apelami do „brzucha" chłopskiego lub umizgami do poszczególnych jednostek w ruchu ludowym czy też wygrywaniem „prawicy" Stronnictwa Ludowego przeciw jego „lewicy" i naodwrót, zepchnie demokrację wiejską z jej dotychczasowej drogi — tego czeka gorzki zawód. Jednakowo omylą się ci, którzy (jak np. „Zespół") alarmując, że „prawica" ludowców ciąży na reakcji, chcą pociągnąć „lewicę" ku sanacji — jak i ci, którzy (jak np. „Głos Narodu" i enkoidalne żywioły Str. Pracy) marzą o zmontowaniu spółki Witos—Dmowski. Bo jedni i drudzy robią rachunek bez uwzględnienia najważniejszej pozycji: samych chłopów - ludowców, którzy odrzucają sanacyjno - endeckie kuszenia i kroczą swoją, twardą i ciężką, ale wiodącą do zwycięstwa drogą. Bo — jak mówi ob. Niećko — nie masz takiej siły, która by zdołała wyszarpać chłopa z szeregów demokracji.

I „Nowa Rzeczpospolita" — z którą godzimy się zawsze, ilekroć pisze rzeczy słuszne, zgodne ze stanowiskiem demokracji — bardzo trafnie określa wszelkie tego rodzaju próby jako „syzyfowe prace". Warszawski organ Stronnictwa Pracy przypomina, że postulaty polityczne ruchu ludowego są zupełnie wyraźne i powszechnie znane. „Za żądaniami tymi, jak wykazały liczne wydarzenia, stoi zdecydowana wola mas chłopskich. I wreszcie rzecz najważniejsza: niezwykła siła tych żądań polega na tym, że idą one od „dołów", które narzucają je „górze", a nie odwrotnie"! Dlatego też „trudno wyobrazić sobie, by ktoś mógł przypuszczać, iż jest dziś jakikolwiek wpływowy przywódca ludowy, który by nie tylko mógł, ale w ogóle chciał się podejmować roli demobilizatora aktywizmu chłopskiego".

Bo demobilizacja taka nie jest możliwa bez uwzględnienia znanych postulatów ruchu ludowego — postulatów całej demokracji.

Żywe urazy i niechęci

„Dziennik Ludowy", charakteryzując rozbicie organizacyjne i chaos ideowy w obozie reakcyjnym stwierdza, że mimo wszystko jedna wspólna „idea" łączy skłócone i rozbite wstecznictwo:

„Wszystkim tym — szukającym nowych dróg, a wpadającym... w ślepe ulice — nacjonalistom i reakcjonistom wydaje się, że ofiarą padnie demokracja. Mimo rozbieżności nienawiść do demokracji łączy wszystkie te grupy, grupki i grupeczki! Wśród chaosu rozbitego a tylko w negacji łączącego się wstecznictwa, marsz stronnictw demokracji trwa dalej. Każde z nich idzie swoją własną, pracą długą i ofiarami wielkimi zbudowaną, drogą, a dążą do wspólnego celu, jakim jest przywrócenie ustroju demokratycznego Państwa".

W gruncie rzeczy ideowo-polityczne, programowe różnice między różnymi odłamami obozu reakcyjnego są dziś znikome. Przeciwieństwa i rozbieżności ideologiczne przybierają coraz bardziej charakter zewnętrzny, formalny — w miarę, jak zacierają się przeciwieństwa i rozbieżności w **realnej treści** politycznej różnych programów różnych grup antydemokratycznych, zarówno sanacyjnego, jak endeckiego czy wreszcie pośredniego między nimi endekoidalnego i oenerowskiego typu.

Trudności, stojące na drodze konsolidacji obozu antydemokratycznego, są więc nie tyle ideowe, ile raczej praktyczne. Zapewne, historycznie uwarunkowane, tradycyjne niechęci i urazy są ciągle bardzo żywotne, tkwią głęboko w psychice zwalczających się „elit" — splatając się z różnymi koncepcjami praktycznej realizacji programu totalistycznego. Bo przecież zagadnienie: **jak** zwalczać demokrację, **jak** realizować totalizm — wiąże się nierozerwalnie z innym, równie dla naszych totalizatorów ważnym, pytaniem: **kto** będzie realizował totalizm, **kto** stanie na czele obozu antydemokratycznego, **kto** będzie zbierał laury i owoce upragnionego przez wszystkich zwycięstwa nad demokracją.

Oto istotne trudności na drodze konsolidacji wstecznictwa. Trudności, które jednak w niczym nie umniejszają nienawiści wszystkich jego odłamów do demokracji — co nakazuje traktować je mimo wszystko jako jeden obóz antydemokratyczny.

Przeciwnie, obóz obrony prawa i wolności składa się ze stronnictw o bardzo różnych programach ideowo-politycznych, ze stronnictw, którym przyświecają bardzo różne cele ostateczne. Jakież głębokie, zasadnicze różnice ideowe zachodzą między programami PPS, Stronnictwa Ludowego czy wreszcie klerykalnego i społecznie prawicowego Stronnictwa Pracy! Ale wszystkie one — jak pisze „Dziennik Ludowy" — „dążą do wspólnego celu, jakim jest przywrócenie ustroju demokratycznego Państwa". Ten właśnie wspólny cel wyznacza dziś w Polsce linię podziału między demokracją a obozem wszystkich jej przeciwników. *ZYGMUNT NAŁĘCZ.*

KSIĄŻKI NADESŁANE

Wydaw. *Instytutu Śląskiego*, skład gł. Warszawa: „Nasza Księgarnia":

Adam Bar: Karol Miarka. Studium z dziejów Górnego Śląska z 17 ilusrtacjami. Katowice 1938.

Roman Grodecki: Rozstanie się Śląska z Polską w XIV w. Katowice 1938.

Stanisław Szczotka: Stosunki Żywiecczyzny ze Śląskiem od XVI wieku do upadku Rzeczypospolitej. Katowice 1938.

Józef Skoczek: Udział Śląska w rozwoju i kulturze południowo - wschodnich ziem Polski. Katowice 1938.

Kazimierz Nowakowski: Zaopatrzenie w wodę górnośląskiego okręgu przemysłowego z 2 mapami i 6 ilustr. Katowice 1938.

Alfred Jesionowski: Plebiscyt i powstanie śląskie w polskiej literaturze pięknej. Katowice 1938.

Zdzisław Wyżnikiewicz: Ustawodawstwo śląskie o ubezpieczeniu społecznym. Katowice 1938.

Kazimierz Piwarski: Pomysły odzyskania Śląska za Jana III Sobieskiego.

Wydawnictwa *J. Przeworskiego:*

Fannie Hurst: Wielki śmiech. Powieść Przekład *Stefanii Heymanowej*. Warszawa 1938.

Dorothy L. Sayers: Gwałtowna trucizna. Powieść. Przekład *Wacława Jaworowskiego*. Warszawa 1938.

Krystyn T. Wand: Krwawy szlak pogranicza. Powieść. Warszawa 1938.

Dawid Hopensztand: Mowa pozornie zależna w kontekście „Czarnych skrzydeł". Z zagadnień poetyki. Odbitka z prac, ofiarowanych *Kazimierzowi Wójcickiemu*. Wilno 1937.

Rocznik Morski i Kolonialny 1938. Praca zbiorowa pod redakcją: *Dr. Józefa Czekalskiego, Kazimierza Jeziorańskiego, Janusza Lewandowskiego.* Warszawa 1938. Wydawnictwo Ligi Morskiej i Kolonialnej.

OD WYDAWNICTWA

Abonentów, którzy zalegają z opłatą prenumeraty za kwartał ubiegły, **prosimy o uregulowanie należności.**

Od Wydawnictwa

Prosimy

o nadesłanie

przedpłaty

za kwartał III

REDAKCJA i ADMINISTRACJA, WARSZAWA, UL. ORDYNACKA 5 — TEL. 213-90 — KONTO P. K. O. 26.630

REDAKTOR przyjmuje w środy i piątki od godziny 17-ej do 18-ej. RĘKOPISÓW nie zwraca się

PRENUMERATA kwartalnie — zł 4.—. Numer pojedyńczy 50 gr.

OGŁOSZENIA: za wiersz 1 mm. lub jego miejsce (szer. 90 mm) zł 1.— w tekście. Za tekstem (szerokości 60 mm) gr 40.

REDAKTOR i WYDAWCA: HENRYK LUKREC. 5149 Odbito w Zakł. W. Piekarniaka. Warszawa, Ordynacka 3.